

ALICJA URBANIK-KOPEĆ
(Instytut Historii Nauki PAN)

SPOD SKRZYDEŁ MATKI DO SZWAJCARII STUDENTKI MEDYCyny W PODRÓŻY PO WIEDZĘ

W 1883 roku Eliza Orzeszkowa ogłaszała:

Głowy w śnieg, panowie i panie! Studentki Polki istnieją!

Stało się! teraz już nie pozostaje mi nic więcej, jak wszystko powiedzieć: gdzie istnieją one? jak istnieją? [...]

Zaraz. Niedaleko. Nie pojedziemy po nie za granicę.¹

To jednak nie do końca prawda. Pisarka miała na myśli, że nie trzeba daleko szukać, by znaleźć studentki, szczególnie studiujące medycynę. Opisywała dziewczęta uczące się w Rosji, której nie uważała najwyraźniej za „zagranicę”. Wedle jej notatek, w roku 1881/1882 na kursach Szkoły Bestużewskiej, oferującej oddziały przyrodniczy, matematyczny i literacki, studiowało tysiąc dziewcząt, w tym sześćdziesiąt Polek. Na kursy lekarskie dla kobiet przy Petersburskiej Akademii Medycznej uczęszczało wówczas 459 studentek, w tym dwadzieścia osiem Polek. Oprócz tych dwóch ośrodków Orzeszkowa wspominała jeszcze o szkole akuszerskiej i felczerskiej². Sięgała zaś jeszcze dalej, do Zurychu, Getyngi, Monachium, Genewy, Cambridge, Bolonii, Paryża i nawet odległej Ameryki... „Ach, Ameryka, to także rzecz nieprzyzwoita” – mitygowała się zaraz pisarka – „Nie należy nagromadzać mnóstwa okropności naraz i trzeba umieć zachować miarę. Nie pojedziemy więc do Ameryki, tym bardziej, że nie mieliśmy wcale jechać za granicę, ale

¹ E. Orzeszkowa, *O sprawach kobiet* [1883], w: tejże, *Publicystyka społeczna*, t. 1: *Myślenie obywatelskie. Żydzi. Kwestia kobieca*, wybór i oprac. G. Borkowska, oprac. edyt. I. Wiśniewska, Warszawa 2020, s. 822. Pierwodruk: *Listy Orzeszkowej o prawach kobiet*, „Świt” 1884, nr 5–7, 16–18, 22–24.

² To dane całkiem trafione. G.A. Tizskin podaje za źródłami rosyjskimi, że w latach 80. liczba Polek na Kursach Bestużewskich wynosiła między sześćdziesiąt a siedemdziesiąt, zaś ogółem na przykład w 1905 roku na Kursy uczęszczało 2200 kobiet. W 1906 roku liczba podań złożonych przez kobiety na Uniwersytet Petersburski wyniosła sześćset. Zob. G.A. Tizskin, *Z historii wyższego kształcenia kobiet w Rosji*, „Rozprawy z Dziejów Oświaty” 1980, nr 23.

do króciutkiej wycieczki skusiła nas tylko statystyka pana Trasenstera, bardzo zresztą niedokładna”³.

Według Louisa Trasenstera, ówczesnego rektora uniwersytetu w Liège, w tych wszystkich miastach studiowało całkiem dużo kobiet. Dwadzieścia w Zurychu, trzydzieści w Bernie, pięćdziesiąt kilka w Genewie, sto w Cambridge, ponad sto trzydzieści w Paryżu. Większość na kierunkach medycznych⁴. A wśród nich bardzo wiele przyjezdnych z krajów, w których studia dla kobiet były jeszcze niedostępne. Tak jak na ziemiach polskich, gdzie Uniwersytet Jagielloński przyjął pierwsze studentki farmacji w 1894 roku, a Uniwersytet Warszawski uchylił swoją bramę przed kobietami dopiero w 1915 roku.

Oto ile ich tam jest. Jak chcecie: i mało to, i wiele. Mało, wobec miliarda z górą ludzi, glob ziemski zamieszkujących; wiele w stosunku do ludności kobiecej jednego kraju, takiego kraju, w którym co krok to kamień, a co krok specjalnie kobiecy, to kamieni – dziesięć.⁵

– podsumowywała Eliza Orzeszkowa, a następnie wymieniła „kamienie”, z jakimi musiały zmierzyć się pierwsze studentki. Wśród przeciwności, takich jak bieda, głód, ludzka niechęć, podejrzliwości i uprzedzenia, pisarka wskazała jeszcze jeden, szczególnie uderzający w te kobiety, które – jak Polki – musiały po edukację uniwersytecką wybrać się za granicę: tęsknotę za domem i poczucie obcości:

One tam nic nie mają z tego, co jest przyzwyczajeniem, wspomnieniem, łatwą poufałością, życzliwością wrodzoną, interesem wspólnym, obowiązkiem i zarazem chęcią współpomocy. Czy im granitowe podścieliska dalekiej stolicy kłosa i kwiaty rodzinnych pól przypominają? Czy marmury pałaców i cegły olbrzymich kamienic mówią im cokolwiek o domowych ich bogach? Czy od nich ku otaczającym je tłumom i od tłumów tych ku nim snują się złote nici pokrewieństw, znajomości, stosunków, wspomnień, obowiązków, przekazywanych często przez pokolenie pokoleniu, z okolicy w okolicę, z pamięci w pamięć? Czy one na cokolwiek potrzebne tym tłumom?⁶

³ E. Orzeszkowa, dz. cyt., s. 823–824.

⁴ Iwona Janicka podaje, że nieco później, w 1890 roku w Paryżu studiowały 152 studentki, a w 1892 – już 252. Z tego na Wydziale Lekarskim w 1892 roku było ich 134, w tym 103 Rosjanki (a do Rosjank w takich spisach często zaliczano też Polki). W Cambridge w 1894 roku było 229 studentek. Studiowanie nie równało się jednak ukończeniu studiów. W sumie w latach 1857–1900 na uczelniach zagranicznych, głównie we Francji i Szwajcarii, dyplomy ukończenia studiów wyższych zdobyło siedemnaście Polek. Zob. I. Janicka, *„Medycynierki, medyczki, lekarki” – dyskryminacja naukowa i zawodowa kobiet-lekarek w wybranych państwach europejskich oraz USA w XIX wieku*, „Studia Historica Gedanensia” 2013, t. 4, s. 83–84.

⁵ E. Orzeszkowa, dz. cyt., s. 825.

⁶ Tamże, s. 828–829.

„Nie” – odpowiadała Orzeszkowa na każde z tych pytań. Studentki doskonale zdawały sobie z tego sprawę. Gdy w 1894 roku Uniwersytet Jagielloński ogłosił nabór dla kobiet, do uczelnianego Senatu, na Wydział Lekarski i Filozoficzny spłynęło w sumie pięćdziesiąt podań o przyjęcie. Oprócz chętnych z Królestwa i Galicji, znalazło się też jedenaście studentek z Genewy i dwadzieścia dwie z Zurychu. Dziewczyny chciały wykorzystać szansę powrotu na studia bliżej domu. Paulina Lipszyc, nauczycielka z Krakowa, pisała wprost w swoim wniosku: „Postępować śladem kobiet udających się na uniwersytety zagraniczne nie mogę. Przede wszystkim z obawy przed różnymi przykrościami, na jakie narażona jest osoba młoda, pozostająca bez opieki rodziców”⁷.

Przed 1894 rokiem nie było takiego wyboru. Młode, ambitne kobiety dokonywały cudów przebiegłości i samozaparcia, by móc podjąć tę niebezpieczną podróż po wykształcenie. Podróż naprawdę tylko dla wytrwałych, bo najeżoną przeciwnościami natury formalnej, finansowej i kulturowej, a w dodatku bez jasnej obietnicy, że u kresu drogi czeka je cokolwiek poza społecznym ostracyzmem i dyplomem lekarskim, którego nie będą mogły wykorzystać w pracy z pacjentami.

*

Studia wyższe, a szczególnie medyczne, stanowiły jeden z najbardziej pożądanых kierunków rozwoju kobiet o ambicjach zawodowych pod koniec XIX wieku. To zrozumiałe – praca lekarki (czy też kobiety-lekarza, jak ją wówczas nazywała prasa) łączyła rozwój intelektualny, wysoki prestiż społeczny i poczucie wypełniania misji, a więc wydawała się atrakcyjna dla wielu emancypantek. Niestety, te wszystkie niewątpliwe zalety zawodu lekarskiego musiały być przeciwwagą dla niezwykle ostrej krytyki, jakiej społeczeństwo poddawało kobiety, które studiowały medycynę w ostatniej ćwiartce XIX stulecia.

Problem był dwojaki z perspektywy obyczajowych konserwatystów. Z jednej strony, studia medyczne wymagały bezwzględnie wyjazdu. Czy to za granicę bliską (albo jak określała to Orzeszkowa w nawiązaniu do pieśni *Mignon*, w ogóle nie za granicę, „kędy »kapią bluszcz i róże« ani w tę, gdzie »pomarańcze i cytryny kwitną«”⁸, tylko do Petersburga), czy daleką: do Szwajcarii, Francji czy nawet Ameryki. Wyjazd wiązał się zaś z niebezpieczeństwami zarówno natury praktycznej, jak i moralnej. W 1874 roku imaginariusz szowi-

⁷ Cyt. za: K. Sikora, *Pierwsze kobiety na Uniwersytecie Jagiellońskim*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Politologica” 2007, nr 46, s. 52.

⁸ E. Orzeszkowa, dz. cyt., s. 824.

nistycznych lęków związanych z wyjeżdżającymi studentkami przedstawiał czytelnikom „Przeglądu Tygodniowego” Aleksander Świętochowski, odnosząc się po kolei do wszystkich obaw krytyków żeńskiej edukacji wyjazdowej. Padały argumenty o naturalnej niższości intelektualnej kobiety, o tym, że nauka odrywa ją od wychowywania dzieci i prowadzenia domu, że jest szkodliwa dla zdrowia psychicznego i reprodukcyjnego. Nie obyło się również bez rozważań o samotnych kobietach w dalekich stronach.

Przeciwnicy kobiecych podróży po wiedzę twierdzili, że studentka, zostawiona sama sobie w obcym mieście, niechybnie padnie ofiarą demoralizacji, ponieważ nie będzie miała oparcia w pozostawionej w ojczyźnie rodzinie, a obca opinia publiczna nie będzie zainteresowana tak skrupulatnym rozliczaniem jej z moralności, jak dzieje się to w zaciszu domowym. Świętochowski odpowiadał, że jest to argument zupełnie postawiony na głowie, ponieważ proces demoralizacji niektórych (co podkreślał) studentek przebiegał dokładnie odwrotnie – to te, które z domu nie wyniosły zasad moralnych, były podatne na zejście na złą drogę w Paryżu czy Cambridge. To wychowanie, „wytwarzając natury moralnie wątłe, jedynie w spokoju domowego zacisza bezpieczne i przydatne, samo naraża je na pokruszenie się przy lada próbie, a całą winę przypisuje nauce za to tylko, że ona słabe organizmy do ruchu pobudziła”⁹. „To nie historia ani chemia zabija w duszach studentek wiele uczuć niewieścich; więdną one z niedostatku siły żywotnej, jakiej wymaga gorętsza temperatura życia” (tamże) – pisał Świętochowski. Innymi słowy – nieprzygotowana do samodzielnego życia, naiwna młoda panna może faktycznie w mieście uniwersyteckim, daleko od domu i rodziny, nie poradzić sobie z obowiązkami naukowymi i nowymi warunkami życia. Nie będzie to jednak wina wyrwania się spod kontroli rodzicielskiej i niszczycielskiego wpływu uniwersytetu. W takiej sytuacji pretensje mogą mieć do siebie tylko rodzice studentki, ponieważ to oni nie pomogli jej wykształcić wystarczająco silnego charakteru, by mogła poradzić sobie z wyzwaniem dalekiej podróży i życia w obcym kraju.

Kolejny problem stanowił kierunek studiów wybierany przez kobiety. Medycyna była postrzegana jako bastion wiedzy męskiej, praca wymagająca tyle siły i przytomności umysłu, że kobiety nie były w stanie jej wykonywać. W tego typu zarzutach przodowali nie tylko publicyści, ale przede wszystkim sami lekarze. Szczególnie elokwentnie wyraził się na ten temat Ludwik Rydygier, sławny chirurg, profesor Uniwersytetu Lwowskiego. Już na pierwszej stronie swojego wywodu *O dopuszczeniu kobiet do studiów lekarskich* (1895) stwierdzał, że „równouprawnienie kobiet z mężczyznami jest nonsensem, bo się

⁹ A. Świętochowski, *O wyższym kształceniu kobiet*, „Przegląd Tygodniowy” 1874, nr 4, s. 33.

sprzeciwia odwiecznym prawom natury”¹⁰. Dowodził, że kobiety nie mogą być dobrymi lekarkami, ponieważ są z natury głupsze, mniej opanowane i zbyt emocjonalne. Jako przykład podawał sytuację porodu. „Kobieta-lekarz” miałaby podejmować złe decyzje dotyczące rodzącej, ponieważ nie zdołałaby przeciwstawić się „błaganiom matki, męża, ciotek i samej rodzącej, błagających o skrócenie cierpień i ukończenie porodu”¹¹, odczuwając wobec położnicy nadmierną empatię. Gdyby zaś do operacji, na przykład cesarskiego cięcia, musiało dojść, lekarka nie podołałaby takiej skomplikowanej procedurze medycznej (z powodu niedostatków umysłowych) i cała sytuacja zakończyłaby się tragicznie. Zresztą Rydygier argumentował również, że kobiece rozchwianie emocjonalne spowodowane hormonami nie pozwoliłoby jej wykonywać zawodu. Comiesięczną przeszkodą byłaby menstruacja (podczas której „znaczna część kobiet nie tylko jest niezdolna fizycznie do zajęć, ale nadto nie pozwala jej na nie rozdrażniony ustrój nerwowy”¹²), nie wspominając już o ciąży czy też menopauzie.

Jeszcze większy sprzeciw budziła koncepcja oglądania przez lekarki obnażonych ciał pacjentów, do czego nieuchronnie prowadziłaby praktyka lekarska. Rydygier pytał w uniesieniu: „Cóż na to powiedzą zwolennicy i zwolenniczki przypuszczenia kobiet do studiów lekarskich, żeby kobieta manipulowała koło części płciowej u mężczyzny [...] Proszę Panów, nie żartujcie sobie ze zdrowego rozsądku!”¹³. To zresztą obawa nie tylko samego Rydygiera. Inni przeciwnicy wstąpienia kobiet do zawodu lekarskiego również zwracali uwagę na tę nieprzyzwoitość. Autor występujący pod pseudonimem Wiryliś w pamflecie *Nasze kobietki* stwierdzał wręcz, że „postępowe kobietki nasze, przeciwnie, lubią przede wszystkim »studia nad organizmem człowieka« (głównie męskim)”, co jest bezpośrednim wynikiem „spotęgowanego upodobania w nagim ciele”¹⁴. Nie wyobrażał sobie, jakie inne motywacje mogłyby kierować studentkami medycyny pragnącymi leczyć ludzi.

*

Podejrzenia nie kończyły się wraz z przybyciem młodej panny na uniwersytet w Genewie, Paryżu czy Petersburgu. Wręcz przeciwnie. Aleksander Świętochowski pisał, że „z głębokim nieraz smutkiem spogląda każdy trzeźwy

¹⁰ L. Rydygier, *O dopuszczeniu kobiet do studiów lekarskich*, „Przegląd Lekarski” 1895, nr 7 [nadb.], s. 1.

¹¹ Tamże, s. 7.

¹² Tamże, s. 6.

¹³ Tamże, s. 4.

¹⁴ Wiryliś, *Nasze kobietki*, Warszawa 1893, s. 65.

umysł na posepny obraz, w którym ludzie poważni wspólnie z gromadą kpinarzy szydzą z niewieściej nauki, w którym uczeni na czele gawiedzi wyprawiają kocią muzykę amerykańskim i europejskim studentkom i doktorom”¹⁵.

Odbiciem tego typu zachowania, choć w bardzo krzywym zwierciadle, jest powieść *Pod skrzydłami „Almae Matris”*. *Wiązanka z listów medycynierki* Stanisława Krupskiego, drukowana w latach 1879–1880 w „Kłosach”. Powieść z kluczem, czy też nawet z podtekstem, opowiada historię Zosi, studentki medycyny, która wyjeżdża, by zdobyć dyplom w Zurychu. Krupski oraz jego powieściowe alter ego, student medycyny, pan Sybiracki, byli bardzo ostrymi przeciwnikami studiów medycznych kobiet, a więc historia Zosi ma raczej charakter przestrogi. Dziewczynę po drodze i na miejscu spotykają same przykrości, koledzy urządzają jej faktycznie „kocią muzykę” rodem z tekstu Świętochowskiego, a na dodatek okazuje się, że Zosia nie zna łaciny, jest niekompetentna i mdleje na widok krwi i trupów w prosektorium. Powieść wywołała zresztą niemały skandal, ponieważ daty jej publikacji zeszły się z prawdziwym debiutem zawodowym w Warszawie pierwszej polskiej lekarki, Anny Tomaszewicz-Dobrskiej¹⁶. Prasa i towarzystwo spekulowały, czy to ona, czy też inne polskie studentki były właśnie pierwowzorem idealistycznej, ale w gruncie rzeczy naiwnej i niekompetentnej Zosi.

Powieść pełna jest przytyków i bardziej czy mniej zawołowanych dobrych rad, łącznie z karykaturalnym portretem zurychskiej studentki, którą na ulicy mijają Zosia:

Miała na sobie ciemną, bez najmniejszych falban ani ozdób spódnicę, która jej zaledwie do kostek sięgała. Na dolnym szlaku znać było jeszcze ślady dawnego zaślubienia, o czym także świadczyły niemożliwe jakieś trzewiki, które dawno już prawdopodobnie szczołki nie widziały. Reszta ubrania była zupełnie męskiego kroju. Paltocik, jak dwie krople wody, był do surduta podobny; kołnierzyk, krawatka, jak noszą mężczyźni. Wszystko to jednak było zaniedbane, pomięte, poplamione...¹⁷

Wizja koleżanki z ławki to przestroga, by Zosia nie próbowała studiów medycznych, bo od tego się mężnieje. Główna bohaterka jest raczej przedstawiana jak nadmiernie emocjonalna, bardzo dziewczęca panienka. To samo w sobie nie jest wadą (prawdziwym nieszczęściem byłoby, gdyby stała się dziwaczną hybrydą z cechami męskimi, czyli „kobietą-lekarzem”), ale na pewno daje czytelnikowi do zrozumienia, że prawdziwe kobiety, jak Zosia, nie nadają się do studiowania w ogóle, a medycyny w szczególności. Charak-

¹⁵ A. Świętochowski, dz. cyt., „Przegląd Tygodniowy” 1874, nr 1, s. 9.

¹⁶ Zob. A. Urbanik-Kopeć, *Nonsens i lekarz bastard. Anna Tomaszewicz-Dobrska (1854–1918)*, „Analecta” 2020, R. XXIX, z. 1.

¹⁷ S. Krupski, *Pod skrzydłami „Almae Matris”*. *Wiązanka z listów medycynierki*, „Kłosy” 1879, nr 749, s. 301

ter Zosi doskonale ukazuje sama podróż do Zurychu i pierwsze wrażenia po zetknięciu z nowym, nieznanym światem.

Bohaterka powieści opisuje podróż pociągiem i przybycie do miasta w liście do ukochanej Tosi, koleżanki z pensji. Zwierza się, że nie może wprost wytrzymać ze szczęścia, że w końcu jest już na miejscu: „Patrz: wstaję do stolika, przy którym list ten kreślę, skaczę po pokoju, klaszczę w dłonie, śmieję się i płaczę na przemian, powtarzając: jam w Zurychu! w Zurychu!”¹⁸. Dziecinne zachowanie Zosi w obliczu wizyty w nowym mieście ma być wskazówką, że nie nadaje się do studiów. Dalej nie jest lepiej, a dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę:

Przyznać ci się jednak muszę, że miałam już sposobność być sama sobie nieradą za tę niepowściągliwość w uniesieniach, za którą, pamiętasz, tylekroć mnie karcono na pensji. Jechałyśmy z Mnichowa pośpiesznym pociągiem w wagonie pierwszej klasy. Mimo że lokomotywa co chwila znać dawała świstaniem o nowej stacji, szybka ta jazda wydawała mi się ślimaczym pochodem. Jakbym była pragnęła strząść zalecieć do Zurychu. [...] Konduktorzy zaczęli wołać: *Zürich! Dreissig Minuten Aufenthalt!* Wołanie to w zachwyty mnie wprawiło. Niepomna tego co robię, zerwałam się z siedzenia, pobiegłam do drzwiczek, w ręce klaskałam wołając: Mamo, mamcio! my w Zurychu!¹⁹

Na tym nie kończy się niedojrzałe zachowanie Zosi, która w końcu przy wyjściu z wagonu potyka się o nogi śpiącego obok pasażera Niemca, przewraca się na niego i, jak w operetce, mężczyzna łapie ją za warkocz, ona uderza go czołem w nos, a na to wchodzi do przedziału konduktor, Zosia zaś, zawstydzona, wybiega z wagonu na stację.

Postawa Zosi różni się drastycznie od zachowania chociażby Izabeli Łęckiej, prezentującej godny sposób podróżowania w dalekie kraje. Dla panny Izabeli, idealnego produktu swej epoki, w podróżowaniu „nie istniały różnice położenia geograficznych, gdyż w Paryżu, Wiedniu, Rzymie, Berlinie czy Londynie znajdowali się ci sami ludzie, te same obyczaje, te same sprzęty, a nawet te same potrawy”²⁰. Niewątpliwie tak samo zareagowałyby na Zurych. Z okien wagonu bez emocji oglądała świat, „nawet lubiła mu się przypatrywać z okna karety, wagonu albo z własnego mieszkania. W takich ramach i z takiej odległości wydawał on się malowniczym i nawet sympatycznym. [...] I mówiła sobie, że tamten świat, choć niższy, jest ładny; jest nawet ładniejszy od obrazów rodzajowych, gdyż porusza się i zmienia co chwilę”²¹.

¹⁸ Tamże, nr 743, s. 193.

¹⁹ Tamże.

²⁰ B. Prus, *Lalka*, oprac. J. Bachórz, Wrocław 2019, s. 204.

²¹ Tamże, s. 27.

Trudno oczywiście traktować Izabelę jako przykład bohaterki pozytywnej, jednak odpowiednich manier nie można było jej odmówić.

Nadmierna ekscytacja Zosi musiała zostać szybko ukarana. Jadąc do hotelu, jednym uchem słuchała wyrzutów matki z powodu dzieciennego zachowania: „Wszystką moją uwagę, całą duszę moją zajęło miasto, do którego tęskniłam, w którym tak często myślami przebywałam, a po którego ulicach na koniec rzeczywiście karetą się przejeżdżałam”²². Dziewczyna zobaczyła „pyszny, obszerny budynek o trzech piętrach”, który okazał się wydziałem lekarskim połączonym ze szpitalem kantonalnym, i chciała paść na kolana, by „cześć boską tym zabudowaniom oddać”. Woźnica, gdy tylko usłyszał, że Zosia planuje studiować w Zurychu medycynę, zaczął łypać na nią podejrzliwie, a na pytanie, czy w mieście jest dużo „panien medycynierek”, odpowiedział: „Panien? ... Nie wiem!... ale kobiet-studentek jest dosyć, za dosyć nawet [...] Paniencie studenci będą bardzo radzi! O, bardzo radzi! Tak piękne koleżanki łaskawe nieba na co dzień im zsyłają... wesoło tu będzie z nimi pannie, ho, ho! – dodał potem poufale z dwuznacznym uśmiechem”²³. Takie komentarze fiakra, a także to, że mężczyzna próbował oszukać dziewczynę i jej matkę, stanowiły tylko zapowiedź dalszych nieprzyjemności i porażek. Wiedziała też o tym Zosia: „Rozczarowanie takie na samym początku, wtedy, kiedy go się najmniej spodziewała, smutnie mi jakoś wróżyło na przyszłość. Płakać mi się chciało rzewnie. Na nic już drogą nie patrzyłam”²⁴.

Entuzjazm z powodu wyjazdu i otwierających się możliwości studiowania, ekscytacja nowym miejscem, wszystko to zbladło wobec uczucia obcości, na które zwracała uwagę Eliza Orzeszkowa w swoim tekście. „Marmury pałaców i cegły olbrzymich kamienic”²⁵, zamiast wzbudzać zachwyt młodej podróżniczki, były zapowiedzią przyszłej klęski. Tym bardziej że, jak dowiedziała się szybko od Sybirackiego, nie tylko woźnica miał prawo wygłaszać tak sugestywne komentarze. Również współstudenci nie będą mogli powstrzymać się od komentarzy, bo Zosia była bardzo ładna (w przeciwieństwie do spotkanej na ulicy zmaskulinizowanej studentki z krótkimi włosami i w surducie); „Młody człowiek ma swoje prawa”²⁶. Studenci, przewidywał przyszły lekarz, nie będą mogli przejść obojętnie nad urodą i obecnością Zosi na audytorium uniwersyteckim:

[...] szyderstwom nie będzie końca. Ze wszystkiego skorzystają, poczynawszy od długich, prześlicznych warkoczy pani, aż do buczków na modnych, wysokich obcasach.

²² S. Krupski, dz. cyt., nr 743 s. 194.

²³ Tamże.

²⁴ Tamże.

²⁵ E. Orzeszkowa, dz. cyt., s. 828.

²⁶ S. Krupski, dz. cyt., nr 749, s. 301.

Ujrzysz się pani narysowaną, skarykaturowaną w najrozmaitszych, często nieprzyzwoitych postawach, na wszystkich ławkach; będą panią dochodzić umyślnie w jej sąsiedztwie wszczynane rozmowy, których byś słuchać nie chciała; niegrzeczności nawet bezpośrednio panią spotkają [...]. Jak temu podołasz?²⁷

„Nie podoła” – brzmiała odpowiedź dostarczona przez fabułę tendencyjnej powieści. Zosia po serii porażek i afrontów z ulgą wróciła do domu. Pokonały ją zarówno własna dziecinna naiwność, jak i nieprzystępna obcość szwajcarskiego miasta. Dopiero wśród „złotych nici pokrewieństw, znajomości, stosunków, wspomnień, obowiązków” domowych, wśród „kłosów i kwiatów rodzinnych pól”, o których pisała Orzeszkowa, Zosia mogła być sobą. Czyli emocjonalną kobietą, a nie zmęczoną, odpychającą studentką medycyny z zurychskiej ulicy.

*

W takiej właśnie atmosferze miały studiować przyszłe polskie lekarki. Trudno więc dziwić się, że Aleksander Świętochowski w przywoływanym artykule pisał, że „w dzisiejszym [...] porządku rzeczy przepaść pomiędzy życiem na pensji i życiem na uniwersytecie jest tak wielką, że [studentka] ją rzadko kiedy przeskakuje... szczęśliwie”²⁸. Nie tylko jednak nawałnica uprzedzeń stwarzała trudności pierwszym studentkom medycyny. Równie (a może nawet bardziej) dotkliwym problemem były warunki życia w mieście uniwersyteckim, gdzie zdeterminowane panny musiały zmagać się z ciągłym brakiem pieniędzy nie tylko na ekstrawaganckie potrzeby, ale wręcz na jedzenie i opał w mieszkaniu.

O takich przypadkach pisała Orzeszkowa, uciekając się znowu do metafory turysty i podróży. Według niej na czterdzieści studiujących w Petersburgu studentek trzy miały pięćdziesiąt rubli miesięcznie na życie i opłacenie mieszkania, większość zaś, bo dwadzieścia pięć studentek – od dziesięciu do dwudziestu pięciu rubli. Kolejne trzy stołowały się i mieszkały u krewnych. Autorka listów *O sprawach kobiet* pisała wprost, że kwoty takie są niewystarczające, a widmo niezdaných egzaminów jest dla studentek równie przerażające, jak widmo śmierci z głodu. Mówiła, że ci, którzy „przebywają świat w złocistej karecie idealizmu”²⁹, dziwią się, że ktoś może pragnąć wiedzieć tak bardzo, by studiować w takich warunkach. Ten jednak „skromny turysta ludzkości”, który „pieszo chodzi po świecie i własnymi oczyma, z bliska, czasem przez mikroskop, przypatruje się światu tego zjawiskom”, wie,

²⁷ Tamże.

²⁸ A. Świętochowski, dz. cyt., nr 4, s. 33.

²⁹ E. Orzeszkowa, dz. cyt., s. 827.

że takie sytuacje się zdarzają, a podróżniczki w drodze po wiedzę umierają z głodu fizycznego i psychicznego, „lub obu razem głodów, bez pomocy, bez ratunku, bez współczucia, samotne...”³⁰.

Podobne wydarzenia wspominała w pamiętniku Romana Pachucka (1886–1964), studentka Uniwersytetu Lwowskiego w latach 1906–1910. Pisała, że dziewczęta dorabiały lekcjami, jednak było to niestabilne zajęcie. Organizacje filantropijne proponowały stypendia, ale bardzo często nie uwzględniały podań kobiet, kierując się poglądami tak wyraźnie wybrzmiałymi w powieściach typu *Pod skrzydłami „Almae Matris”*. Niedożywienie, złe warunki mieszkaniowe, zmęczenie zajęciami powodowały choroby – anemię, gruźlicę. W sytuacjach ekstremalnych efekt był bliski spostrzeżeniom Orzeszkowej. Pachucka pisała:

Kiedyś zauważyłam, że jedna z bliższych mi koleżanek, Zofia Ryżanka, od paru dni nie przychodzi na uniwersytet. A była ostra zima, silne mrozy. Dopytawszy się o prywatny adres Zosi, poszłam do niej. Mieszkała daleko, za parkiem. Pukam, wchodzi, Zosia leży w gorączce, głodna, w zimnym, nieopalanym pokoju. Przyznaje się, że nie ma pieniędzy.³¹

W przypadku Ryżanki w końcu pomógł jej Bratniak, czyli Bratnia Pomoc, organizacja studencka działająca na uniwersytetach Jagiellońskim, Warszawskim i Politechnice Lwowskiej. Nie wszystkie dziewczęta miały jednak tyle szczęścia.

Sytuacja niekoniecznie musiała poprawić się, gdy studentka medycyny uzyskała dyplom i wróciła do domu. Przekonała się o tym chociażby Anna Tomaszewicz-Dobrska (1854–1918), pierwsza na ziemiach polskich lekarka z dyplomem – właśnie z Zurychu. Zbieżność dat, wyglądu (Anna była atrakcyjną blondynką) i kierunku studiów kazała nawet domniemywać prasie, że to ona była pierwowzorem Zosi z powieści Krupskiego, czemu autor gwałtownie zaprzeczał³².

W przeciwieństwie do powieściowej Zosi Tomaszewicz-Dobrska skończyła studia z sukcesem i wróciła z Zurychu do Warszawy. Nie mogła rozpocząć praktyki w Warszawie, ponieważ konieczne do tego było członkostwo w Warszawskim Towarzystwie Lekarskim, a to odrzuciło jej kandydaturę. Problematyczny okazał się jej też zurychski dyplom – prawo nie przewidywało

³⁰ Tamże, s. 82 7–828.

³¹ R. Pachucka, *Pamiętniki z lat 1886–1914*, wstęp i objaśn. J. Hulewicz, Wrocław 1958, s. 117.

³² Krupski pisał w „Kłosach”, że takie domniemanie są na rękę „temu lub owemu, który w mojej bohaterce zechce doszukać się żywej osoby, a mniemając, że znalazł ją, rad będzie skandalikowi” – *Od autora „Pod skrzydłami Almae Matris”*, „Kłosy” 1880, nr 12, s. 190.

nostryfikacji. Lekarka – komentowanym szeroko przez prasę fiasku związanym z akcesem do WTL – musiała znowu wyjechać. Tym razem do Petersburga, gdzie miała uzupełnić kolejne kursy i uzyskać rosyjski, ważny już dyplom. Tam także nie obyło się bez problemów, ponieważ Rosjanie nie uznawali dyplomów szwajcarskich. Po latach Tomaszewicz-Dobrska pisała do Orzeszkowej:

Ja sama byłam studentką zurychską i nie zostałam dopuszczona do żadnego egzaminu w Petersburgu, gdyby nie czysto wypadkowa okoliczność. Nieboszczyk Kozłowski (inspektor Akademii Medyko-Chirurgicznej) miał polecone dostarczyć dla haremu sułtana kobietę lekarzkę, która by mówiła płynnie po francusku, niemiecku i angielsku. Na razie żadna z kobiet lekarzy Rosjanek temu warunkowi zadość nie czyniła, a ja się zgodziłam; Kozłowski uznał mnie za odpowiednią i dlatego tylko przy podpisywaniu zezwolenia na zdawanie egzaminów udał, że nie zauważył Zürichu na dyplomie.³³

Dwa lata młoda lekarka spędziła więc w Petersburgu, opiekując się znanymi przebywającym w mieście sułtana i zdając egzaminy nostryfikujące dyplom. Egzotyczne okoliczności pracy w haremie nie tuszowały jednak prozy życia, które było – jak dla wielu innych studentek – chłodne i głodne. Dziewczęta, szczególnie te studiujące medycynę, nie miały wiele czasu, by dorabiać daniem lekcji, pracą w sklepie czy gdziekolwiek indziej, ponieważ oprócz wykładów musiały zaliczać też czasochłonne laboratoria. Najlepiej płatne korepetycje i drobne zadania w rodzaju przepisywania tekstów chętniej oddawano studentom mężczyznom – wiadomo już z paszkwilu Krupskiego, jaką sławą cieszyły się studiujące kobiety. W tym samym roku o studiach w Petersburgu pisała do „Nowin” anonimowa studentka, wyzłościwiając się, że niektóre wydziały otwierają kuchnie z tanimi obiadami dla studentów i studentek, jednak ich jakość każe zastanowić się dobrze, czy nie lepiej głodować: „Na pociechę powiem, że ten szacowny nabytek robimy nie wszystkie z jednakową szybkością, nie wszystkie bowiem możemy co dzień jadać obiady – zresztą co do tej kwestii, wdałam się w nie swoje, bo nie wiem, co z dwojga lepsze: czy wprowadzić do organizmu rzecz szkodliwą, czy nic nie wprowadzić. Zapytajcie o to studentki medycyny”³⁴.

W końcu po dwóch latach Tomaszewicz-Dobrskiej udało się nostryfikować dyplom i wrócić do Warszawy, gdzie mogła rozpocząć praktykę. Jak wiele pierwszych lekarek, zajęła się chorobami kobiecymi i pediatrią. Przez dwadzieścia dziewięć lat prowadziła Przytułek Położniczy nr 2 w Warszawie.

³³ List do Elizy Orzeszkowej, 24 X 1894, cyt. za: Z. Filar, *Anna Tomaszewicz-Dobrska. Karta z dziejów polskich lekarek*, Warszawa 1959, s. 163.

³⁴ [b.a.], *Listy studentki*, „Nowiny” 1879, nr 56, s. 2.

„Czy [...] góral lub wieśniak ma iść do kobiety-lekarza i dać jej leczyć swój wiewiór (tryper) lub wrzód miękki albo twardy?”³⁵ – zapytywał dramatycznie Ludwik Rydygier. Wielu lekarzy, a także wielu pacjentów, nie wyobrażało sobie, by kobiety zajmowały się wszystkimi gałęziami medycyny. Leczenie chorób intymnych uważano za zbyt niemoralne, wykonywanie zaś skomplikowanych operacji chirurgicznych – za fizycznie zbyt obciążające i trudne dla ograniczonych umysłowo kobiet. Rydygier co prawda negował również przydatność kobiet we wszystkich innych obszarach medycyny, pisząc na przykład, że napływ kobiet obniży ponownie prestiż ginekologii, redukując ją do „słusznie wyśmiewanej Glycerin-Watte-Tampon-Gynaekologie”³⁶. Opinia publiczna zdawała się jednak przyjmować do wiadomości, że kobiety mogą być niezłymi lekarkami chorób kobiecych.

Tak właśnie było w przypadku wielu pierwszych polskich lekarek. Anna Tomaszewicz-Dobrska zajęła się ginekologią i pediatrią, podobnie Justyna Budzińska-Tylicka (1867–1936), która w okresie międzywojennym otworzyła pierwszą polską poradnię planowania rodziny. Taka specjalizacja wynikała zapewne z ich osobistych zainteresowań, ale spełniała również oczekiwania, jakie wobec lekarek miało społeczeństwo. Leczyły one dzieci lub inne kobiety. Chętniej też podejmowały pracę na głębokiej wsi albo w dalekich placówkach. Jak komentowała kwaśno Orzeszkowa:

[...] kobiety-lekarki zajmowałyby te miejsca bardzo chętnie, o tym wątpić nie można. Mężczyźni ich nie zajmą, bo ambicja i chęć używania dóbr cywilizacji zatrzymują ich w miastach większych. Dla kobiet możliwość samodzielnego pracowania, choćby w najtrudniejszych warunkach, byłaby już dopięciem najwyższych marzeń – o wyniesieniu się i używaniu.³⁷

Czasem takie zapotrzebowanie było podyktowane względami religijnymi i kulturowymi, jak w przypadku Tomaszewicz-Dobrskiej pracującej na kontrakcie w haremie sułtana w Petersburgu. Po zajęciu przez Austrię Bośni i Hercegowiny w 1878 roku na miejsce ściągnięto wiele lekarek, które mogły leczyć mużulmanki, i kobiety te musiały zmierzyć się nie tylko z nowym zawodem, ale również z odmiennymi uwarunkowaniami kulturowymi, daleko od domu i utartych szlaków. Bronisława Prašek-Calczyńska, Jadwiga Olszewska i Teodora Krajewska to takie przykłady polskich lekarek, które wyjechały do Bośni sprawować opiekę medyczną głównie nad kobietami.

Teodora Krajewska (1854–1935) zasługuje na szczególną uwagę. Jej pa-

³⁵ L. Rydygier, dz. cyt., s. 4–5.

³⁶ Tamże, s. 5.

³⁷ E. Orzeszkowa, dz. cyt., s. 840.

miętnik z lat spędzonych na studiach i w dalekim (geograficznie i kulturowo) kraju stanowi opis doświadczenia obcości, z którym pierwsze lekarki musiały stykać się na każdym kroku. To obcowanie z nieznanym nie tylko w sensie dalekiego wyjazdu (najpierw na studia, a potem do pracy), ale też z nową tożsamością lekarki. Krajewska doskonale zdawała sobie z tego sprawę. O pożegnaniu z rodziną przed wyjazdem na studia do Genewy w 1883 roku pisała:

Twarz ojca żółtobiała [...] wyraża niepokój, prawie rozpacz. Ukochana jego córka, wbrew jego woli, jedzie do Genewy na studia przyrodnicze, a może i medyczne. Młoda kobieta sama puszcza się w drogę. Co powiedzą znajomi, straci szacunek wszystkich poważnych ludzi, jest zgubiona!³⁸

Teodorze udało się jednak „suchą stopą”, by użyć określenia Świętochowskiego, przeskoczyć z pensji na uniwersytet, a potem dalej, do Bośni.

Sam Świętochowski miał w tym zresztą swój udział – kolegował się z przedwcześnie zmarłym mężem Krajewskiej i to on poradził jej wyjazd na studia medyczne do Genewy. Krajewska знаła też pracujące wtedy w Warszawie Annę Tomaszewicz-Doborską i Teresę Ciszewicz. Pisała, że do studiów ciągnęło ją przekonanie, że mężczyźni i kobiety powinni mieć takie samo prawo wyboru wykształcenia i zawodu. Do udziału w konkursie na „kobietę lekarza w Bośni”, rozpisany przez Rząd Krajowy w Sarajewie, a ogłoszonym przez Ministerstwo Finansów w Wiedniu w 1892 roku, przyciągnęła ją „idea, że oświata ma nie tylko świecić z wysokości jak słońce, ale przenikać do mrocznych zaułków, gdzie panuje ciemnota, a tradycja jest rozkazem”³⁹. Miała na myśli Bośnię, ale słowa te można odnieść również do sytuacji bliżej domu. Krajewska dostała posadę. Najpierw wyjechała do Wiednia, aby załatwić formalności, potem do Budapesztu, aż wreszcie wiosną 1893 roku, jak wspomina: „[...] z niepokojem skierowałam się na południe, ku Bośni, prowincji okupowanej przez Austrię, od 1878 roku”⁴⁰.

Podróż Krajewskiej do Tuzli (gdzie miała stacjonować) pokazuje ją w zupełnie innym świetle niż naiwną Zosię z powieści Krupskiego, jadącą do Zurychu. Teodora chciała podjąć pracę lekarki i misjonarki zarazem, jak określała swój wyjazd, ale w drodze towarzyszył jej niepokój zmieszany ze zniechęceniem. Zamiast dziecinnie (jak niedojrzała „medycynierka” przedstawiona w „Kłosach”) ekscytować się podróżą pociągiem, była znudzona i zasmucona. Tak zresztą nazwała ten właśnie fragment pamiętnika: „Długa, nudna droga”. Podróż była uciążliwa, „ziemia płaska, pusta, w prostej

³⁸ T. Krajewska, *Pamiętnik*, oprac. B. Czajeczka, Kraków 1989, s. 55.

³⁹ Tamże, s. 57.

⁴⁰ Tamże.

linii ku południowi. Chyba to najbrzydsza część Austro-Węgierskiej monarchii [...] Nuda i smutek mnie ogarnia”⁴¹ – notowała. W Tuzli nikt nie czekał na nią na dworcu, a więc wynajęła dorożkę sama (żadnej dyskusji z protekcyjnym woźnicą), a potem zakwaterowała się w hotelu, gdzie był „pokój dobry, usługa fatalna, jedzenie niemożliwe, humor mój jeszcze gorszy”⁴². Sama Tuzla, z okien pociągu tak malownicza i ładna, okazała się z bliska brudna, zacofana i bez względu na komunikację kolejową „odcięta od cywilizowanego świata”⁴³.

Dalsza część pamiętnika Krajewskiej to opis powolnego zdobywania sobie zaufania muzułmańskich pacjentek i walki z uprzedzeniami nie tylko kulturowymi, ale też związanymi z medycyną. Jej lekarz przełożony miał „bardzo rozumny pogląd na cywilizatorską rolę kobiety-lekarza w Bośni”⁴⁴. Pierwszym pacjentem Krajewskiej był dziesięciomiesięczny syn woźnego ze Starostwa Okręgowego, który cierpiał na kolki. Po uleczeniu dziecka Krajewska zyskała pewną przychylność miejscowych kobiet, które zaczęły zapraszać ją do swoich domów. To jednak nie zawsze oznaczało pełen sukces. Lekarka wspomina jedną pacjentkę, która nie chciała się leczyć z zakażenia po poronieniu: Bóg dał chorobę, więc też Bóg mógł ją zabrać. Mimo długich namów nie chciała się poddać zabiegowi czyszczenia macicy i Krajewska mogła tylko zostawić ją w chałupie na wsi ze środkami dezynfekującymi. Poczucie nieufności wobec nowoczesnej medycyny było dość powszechne wśród pacjentek, a lekarka dzieliła je na zacofane i wrogie oraz postępowe i miłe. Te drugie były chętne do wprowadzania zmian w diecie, trybie życia czy dbaniu o higienę. Zmiany były zaś według Krajewskiej konieczne, ponieważ, jak pisała, „zawarty w Koranie nakaz dobrych obyczajów, skromnego ubierania się kobiet na ulicę wyrodził się w ciągu wieków pod wpływem fanatyzmu tak, że stał się izolowaniem kobiety od zewnętrznego świata i skazał ją na samotność, na zaniedbanie elementarnych warunków higieny, na brak ruchu i światła”⁴⁵. Jedynym sposobem leczenia kobiety przez lekarza było zbadanie pulsu, a w tym celu pacjentka wystawiała przez uchylone drzwi rękę. I tyle. Tu właśnie mogła wkroczyć lekarka, która gorszyła tradycjonalistów domu, ale w dalekiej Bośni było to przyzwoitsze rozwiązanie niż badanie przez mężczyznę.

Nawet najlepsze stosunki z miejscowymi kobietami, o których Krajewska pisała, że zdobywa sobie ich sympatię i zaufanie powoli, ale skutecznie, nie

⁴¹ Tamże, s. 60.

⁴² Tamże, s. 61.

⁴³ Tamże, s. 70.

⁴⁴ Tamże, s. 64.

⁴⁵ Tamże.

niwelowały zupełnie poczucia obcości i bycia obserwowaną w nowym środowisku. Muzułmanki, które częstowały ją kawą i papierosami w swoich mieszkaniach, jednocześnie, jak wspomina, „interesowały się kapeluszem, kostiumem, macały materiał sukni. Zdawało mi się nawet, że miałyby ochotę sprawdzić, jaką noszę bieliznę”⁴⁶. Stój europejski budził nieufność w chłopach, a Krajewska czuła się jak dziwo wystawione na pokaz. Obserwowane, inne, oceniane. Pisała o uczestniczeniu w kondukcje pogrzebowym swojej pacjentki, która zmarła na sepse po poronieniu. Ten opis podsumowuje doświadczenie kobiety, która z powodu swojego wyboru zawodowego zdecydowała się pójść drogą drastycznie odmienną:

Byłam przy wyprowadzeniu zwłok mojej pacjentki. [...] Zdawało mi się, że wszyscy obecni patrzą na mnie. Być może, że patrzyli na mnie jak zwykle patrzą w małym miasteczku na osobę nowo przybyłą, albo może patrzyli jak na nowy okaz kobiety, doktora medycyny, a może się dziwili, że się tak mało od innych kobiet różnię.⁴⁷

Aleksander Świętochowski pisał o pierwszych studentkach, że „dyplom uniwersytetu nie był dla kobiet, tak jak dla mężczyzn, zwyczajnym kapeluszem, ale koroną, noszoną przez nie bardzo uroczyście”⁴⁸. Bolesław Prus porównywał pierwsze lekarki do kanarka, którego zawistne wróble dziobią tylko „dlatego, iż jest żółty”⁴⁹, nie zaś szary jak one. Wszystkie te porównania podkreślały niezwykłą pozycję lekarek, a poczucie inności niosły one ze sobą przez całe życie – przez biedę i docinki na studiach, lekceważenie i krytykę w pracy, po strach i tęsknotę, doznawane podczas dalekich wyjazdów.

*

To właśnie doświadczenie inności było głównym przeżyciem kobiety wybierającej się na studia medyczne za granicę. Orzeszkowa pisała, że kobiecej chęci do studiowania i podejmowania trudów podróży nie dało się powstrzymać. Kobieta nowoczesna pragnęła „godności ludzkiej, jakiej udziela posiadana oświata i osobista zasługa; nikt na świecie nie zdoła pragnienia tego w piersi jej ugasić”⁵⁰. Dla tego poczucia gotowa była poświęcić wiele. Według ówczesnych konwencji życia społecznego – czasem zbyt wiele:

Zapytujecie: dlaczego one tam właśnie idą? Odpowiadam także pytaniem: dokąd im państwo iść rozkażecie? Do Zurychu, Genewy, Cambridge [...] Paryża, Lon-

⁴⁶ Tamże.

⁴⁷ Tamże.

⁴⁸ Cyt. za: Z. Filar, dz. cyt., s. 134.

⁴⁹ B. Prus, *Kroniki*, oprac. Z. Szwejkowski, t. 3, Warszawa 1954, s. 182. Pierwotny druk: B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski” 1878, nr 35, s. 1.

⁵⁰ E. Orzeszkowa, dz. cyt., s. 830.

dynu? [...] Parte koniecznością, wyrastającą z cech i właściwości czasu swego, koniecznością, psychiczną zarówno, jak ekonomiczną, idą one po naukę tam, dokąd iść mogą. Czy mogą, przeszedłszy tylko z pokoju do pokoju, znaleźć ją w domu? Nie, nie mogą [...].⁵¹

Daleka droga – nie z pokoju do pokoju, ale z kraju do kraju, z jednej rzeczywistości do innej – dawała studentkom doświadczenie obcowania z wiedzą, ale też mierzenia się z samą sobą. Nie chodzi już nawet o karykaturalnie przedstawioną Zosię, bohaterkę Krupskiego, mającą stanowić potwierdzenie tezy, że kobiety nie są psychicznie w stanie wytrzymać trudów edukacji i przeprowadzki za granicę. Krajewska wspominała, że czasem ogarnia ją niepokój, nie może spać, a podejmowane codziennie decyzje medyczne pripraviają ją o ataki melancholii i lęku. Fantazjowała, by do Bośni zaprosić którąś ze swoich siostr, jednak zaraz mitygowała się, że młodsze panny nie wytrzymałyby w trudnym klimacie i egzotycznych warunkach. Tomaszewicz-Dobrska pisała o zmęczeniu ciągłymi (podobnymi do doświadczanych przez Krajewską) przepychankami z zabobonnymi pacjentkami i położnymi w Warszawie. Pod koniec życia mówiła na zjeździe feministycznym z okazji jubileuszu pracy Pauliny Kuczalskiej-Reinschmit, że większość podobnych jej pionierek przegrało, a „w pasowaniu się z trudnościami straciły siłę, podobnie jak owe owce pędzone przez ciernie tracą wełnę”⁵².

Aleksander Świętochowski pisał o Annie Tomaszewicz-Dobrskiej:

[...] nie mówiła, ale prawiała, nie gniewała się, ale ubolewała, nie śmiała się, ale uśmiechała. Nie można było wyobrazić sobie, ażeby ona mogła wtrącić do rozmowy jakieś nieogładzone słowo, opowiedzieć jakiś swawolny żart, zrobić jakiś nieposągowy gest. Niewątpliwie tkwiła w niej pewna sztywność, nie była to jednak sztywność martwoty, lecz dostojności.⁵³

Wydaje się, że ta posągowość ciągle towarzyszyła pierwszym lekarkom. Ciekawość, która według Orzeszkowej miała je gnać na studia na Zachód, nie przekładała się na nieskrępowaną, radosną obserwację świata zewnętrznego. Ostrze spojrzenia szybko zwracało się przeciwko nim. I w ojczyźnie, i w dalekich krajach, niezależnie od okoliczności, studentkom przypadała raczej rola obserwowanych, nie zaś obserwujących.



⁵¹ Tamże, s. 832–833.

⁵² *Obchód Jubileuszu Pauliny Kuczalskiej Reinschmit*, „Ster” 1911 [nadb.], s. 13.

⁵³ List Aleksandra Świętochowskiego do Walentyny Nagórskiej, „Niepodległość” 1935, t. 12, z. 2, s. 192.

Alicja Urbanik-Kopeć (The Institute for the History of Science of the
Polish Academy of Sciences)

e-mail: alicja.urbanik@gmail.com, ORCID: 0000-0002-1121-4309

FROM UNDER MOTHER'S WINGS TO SWITZERLAND. MEDICAL
FEMALE STUDENTS ON A JOURNEY FOR KNOWLEDGE

ABSTRACT

The article presents the complicated cultural and social contexts that accompanied the first Polish female doctors who travelled to study abroad. The opinions of Eliza Orzeszkowa, who in 1883 wrote about the difficulties faced by young women studying at universities in Western Europe and the Russian Empire, were quoted. These observations are confirmed by the authentic testimonies of the first Polish female doctors: Anna Tomaszewicz-Dobrska and Teodora Krajewska. The article also recreates public discourses that are a reaction to women taking up the profession of a doctor (satirical novels, lampoon dissertations written by male doctors, but also the progressive journalism of Aleksander Świętochowski).

KEYWORDS

Anna Tomaszewicz-Dobrska, Eliza Orzeszkowa, emancipation,
female student, medical studies, Teodora Krajewska

